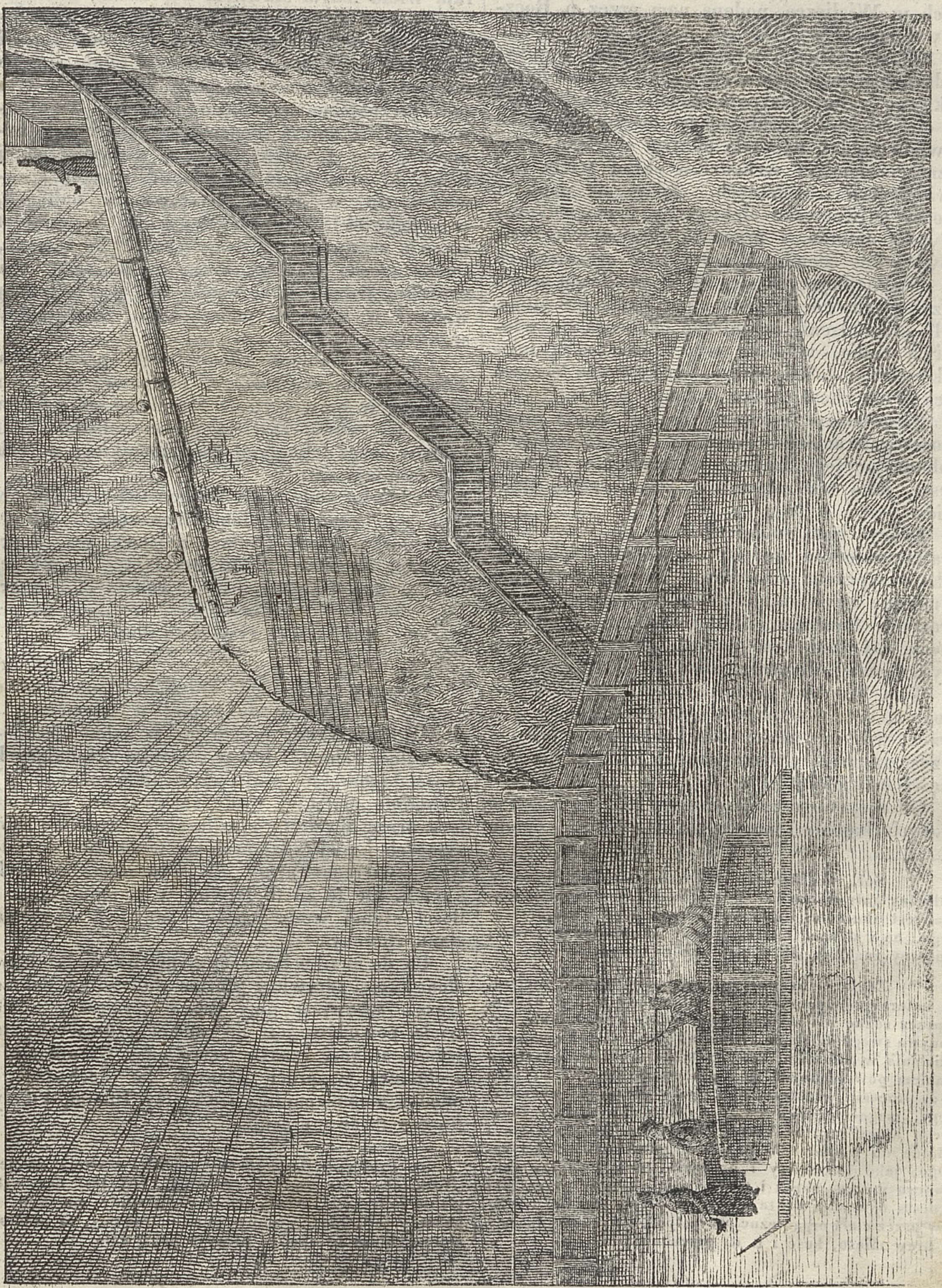
Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 24.** **Leszno, dnia 15. Grudnia 1838.**



Przykos, staw, w kopalniach soli w Wieliczce.

Przykos, staw, w kopalniach soli w Wieliczce.

Dawszy czytelnikom naszym opis kopalni soli w Wieliczce w tom. I. N. 10 i 11, dołączamy teraz krótką wiadomość o kąpielach słonych w Wieliczce, podaną nam przez p. Boczkowskiego.

Sól w ogólności wyższe musi mieć w przyrodzeniu przeznaczenie, gdyż ją Opatrzność hojną ręką po całéj rozsypała ziemi. Znajduje się w obszerném i niezgłębioném morzu, wytryska z wielu źródeł, napełnia obfitym skarbem wnętrzności ziemi, i wchodzi w skład wielu ciał zwierzęcych i roślinnych. Zdaje się popierać proces galwaniczno-elektryczny i magnetyczny w całéj naturze, i przez to utrzymywać życie powszechne ziemi, jako też istót organicznych na niéj znajdujących się. *) W okolicach morzu przyległych, gdzie woda i powietrze jest słone, całe przyrodzenie organiczne odznacza się właściwą cechą, większą siłą i świeżością mieszkańców, i dobroczynnym wpływem na leczenie niektórych chorób, jako to: n. p. suchót.

Na organizm ludzki równie sól działa przez proces galwaniczno-chemiczny **) ożywiając i pobudzając jego funkcye, rozwalniając humory gęste, jako też zatkania i zatwardzenia trzewiów.

Znany jest powszechnie i od wszystkich prawie narodów przyjęty użytek soli kuchennéj, jako przyprawy pokarmów. Dodana potrawom i miernie używana, idzie w pomoc strawieniu, krążeniu humorów i wypróżnieniom stolca i uryny, t. j. funkcyom sprzyja, od których dobre wyżywienie i utrzymywanie całego ciała zawisło.

Tym samym sposobem, tylko w wyższym stopniu, działa słona woda w chorobach, już to przez większą ilość soli kuchennéj, jakoteż przez gatunek przymięszanych i składających części wód słonych.

Od niejakiego czasu uznano wielką korzyść słonych kąpieli i urządzono naśladując kąpiele morskie, kąpiele słone w Niemczech, w Prusach, jako też sławne kąpiele w Ischl w Austryi, i już to dla skutku dobrego, już też z powodu większéj liczby chorób tegoczesnych, do używania słonych kąpieli usposobionych, kąpiele słone w naszych czasach pierwszeństwo odbierają wielu innym sławnym kąpielom.

Za tym przykładem od kilku lat w Wieliczce, w różnych słabościach używano kąpieli słonych z pożądanym skutkiem, i zdaje się, że tutejsza kąpiel zastąpić może wszelkie w tym rodzaju znajome zagraniczne kąpiele. Tu albowiem, gdzie natura nieprzebrany skarb soli zakopała, jest i słona woda w niewyczerpanéj ilości, która z wielu źródeł podziemnych zgromadza się w głównym stawie w Salinach, w głębokości 134 sążni wiedeńskich. Świeża jest sinawa, przezroczysta, temparatury + 9° Reaum., smaku mocno słonego, nieco gorzkawego, bez zapachu, jednak lotne części nad powierzchnią wody i w Salinach unoszące się, smak słony sprawują.

Podług rozbioru chemicznego przez *Dra Floryana Sawiczewskiego,* professora chemii i farmacyi w uniwersytecie Jagielońskim, kwarta jedna téj wody, zawiera części solnych 3900 granów wagi lekarskiéj Norymberskiéj; w tych zaś znajduje się:

Chlorku sody (soli kuchennéj)	3,820 gr.
„ magnezyanu (Solanu magnezyi)	21 gr.
Nadchlorku żelaza (Solanu żelaza)	3 gr.
Siarkanu magnezyi (Soli gorzkiéj)	24 gr.
- wapna (Gipsu)	8 gr.
- sody (soli Glaubera)	24 gr.
Materyi extraktowéj żywicznéj ślad,	
razem	3900 gr.

Zawiera zatém woda Wielicka słona te same części, co i wody do kąpiel w Niemczech i w Ischl używane; przeto ma w sobie nie obojętną ilość żelaza, i jest w stósunku składających części do morskiéj wody, najbardziéj podobna. *a*) Działanie morskiéj wody zachwalone, ożywiające przez wyziewy niezliczonego mnóstwa istót żyjących i rozkładających się w morzu (magnetyzm zwierzęcy?) nie jest własnością naszych kąpieli, ale te za to łatwiéj w stopniu ciepła i ilości słonéj wody zastósowane być mogą do stanu choroby.

Co do skutku tutejszéj słonéj wody, już lotne słone części zdrowiu i płucom słabowitym dobrze służą: albowiem przy pracy górniczéj, gdzie wiele powodów jest do suchot płucowych, ta jednak słabość rzadka jest między Górnikami, i suchotnicy w pracy późnych lat dochodzą, i między niemi znajdują się starcy 70letni, którzy jeszcze rzeźwo pracują.

*) Sól rozpuszczona w wodzie, stanowi część kolumny galwanicznéj. Połyskiwanie powierzchni morza jest skutkiem processu elektrycznego i magnetycznego, co i sławny badacz natury *Humboldt* twierdzi; wulkany znajdują się w pobliskości morza.

**) Zdaje się być rzeczą do prawdy najpodobniejszą, że natura pojedyńczych sił w działaniach swoich używa, i przez różne ich zastósowanie, różne i wielorakie wykonywa swego działania zjawiska, jako też, że organiczne działania w ludzkiém ciele, są tylko osobliwem zastósowaniem powszechnych sił i processów fizycznych; jako to: processu elektrycznego, galw nicznego, chemicznego, magnetycznego i t. d. W budowie ciała ludzkiego natrafiamy na części składające, różniące się i zdolne do pobudzenia processu galwaniczno-elektrycznego, jako to: nerwy i naczynia krwi, dwojaka substancya mózgu, nerek i t. d. i zdaje się, że przez taki process odbywają się te niepojęte przeistoczenia żywiołów przez ciała organiczne przyjętych, że różne pokarmy w krew mięso, kość i t. d. przechodzą.

a) Professor *Baumgärtner* twierdzi w swoim dziele: (*Naturlehre, 4te Aaflage. Wien.*) Sól jest bez wątpienia przyrodną składającą częścią wody morskiéj, a pokłady soli, które gęsto w ziemi natrafiamy, są osadem morza, które te okolice niegdyś pokrywało.

Słona woda wewnątrz i zewnątrz używaną bywa. Wewnątrz użyta, drażniąc cały kanapokarmowy, oraz system naczyń humoru lymfaltycznego i krwi, pobudza napływ humorów trawiących, i powiększa ruchy całego kanału, chemicznie przymieszana humorom, rozrzedza je i ułatwia ich obieg: następują więc wypróżniania stolcowe, flegmy, żółci, robaków, uryny odosobnienie i wydzielenie obfitsze. Znany jest dobroczynny skutek słonéj wody w krwiotokach nagłych.

Te same skutki i kąpiel słona sprawia, albowiem słona woda, choć z sześcioraką ilością słodkiéj wody zmięszana, tak przechodzi ciało, że po kilku kąpielach smak słony w ustach powstaje i działa na wtóre drogi, na wypróżnienie stolca i uryny, jak i po wewnętrzném używaniu. Przy tém ustępują nabrzmienia wątroby, śledziony, gruczołów brzusnych i innych, pomnaża się apetyt, muszkuły nabierają jędrności, daje się czuć lekkość i rzeźwość całego ciała, lekkość i wesołość umysłu.

(Koniec nastąpi.)

Z moich wspomnień.

(Ciąg dalszy.)

Wreszcie ukazały się z pomiędzy orzechowego lasu kamienne mury i baszty, a kiedyśmy pierwszą na pochyłości góry zawieszoną mijali winnicę, już Meran leżał u stóp naszych. Na szerokiéj dolinie, którą żwirowo-żółta Adyga przerzyna, w pośród lasów orzechowych i licznie porozsianych winnic, u podnóża na kilka tysięcy stóp ku północy wyniesionych dwóch narożnych gór, co zagradzają ujście strumyka Passeyer do Adygi, leży Meran, dawna Tyrolu stolica. Na zachód, ginie wzrok w nieprzejrzanych pietrzących się gór wierzchołkach; nad niemi kończaty i śnieżny podobno panuje Ortler. Ku południowi, szeroko się roztwiera obfita dolina Adygi, dzikie Alpy z uprawnemi równinami Lombardyi spokrewniająca. Na wschód opiera się Meran o nie zbyt wysokie pochyłe góry w części nawet uprawne. Taka rozmaitość w okolicznym krajobrazie, nader pięknym go czyni: przyjemne ciepłe powietrze nie mało powabu przysparza; nie dziw więc, że pierwsi władzcy téj krajny, tutaj sobie obrali mieszkanie. Meran budowany jest cały z kamienia, płaskość dachów o pobliżu Włoch już zaświadcza, a szczególniejszą odznaką w wewnętrznem rozporządzeniu domów są wschody, przez kilka piętr jedne nad drugiemi załamane, szklannem dachem oświecone. Mieszkańcy miasta nie są już czysto górale Tyrolscy; mowy ich niemieckiéj ani sposób było zrozumieć, tyle włoszczyzną przeplatana i skażona. Adyga zdaje się rozgraniczać Tyrol niemiecki od krainy włoskiéj (Welschland, jak tam zowią), która ku południu wraz z Alpami do czysto włoskich równin Lombardyi się rozciąga.

Na północ, o pół mili nad Meranem, na pochyłości góry, leży wioska Tyrol, a o kilkaset stóp nad nią na stroméj skale, w pośród rozłożystego lasu orzechowego, zamek Tyrol zwany, dawne mieszkanie panów tyrolskiéj krainy. Do zamku wiedzie wejście z 1000 kroków na przestrzał w skale kute: sądziłbyś, że cię na rozkaz srogiego pana na tortury wiodą, znajdziesz tylko mury mchem i powojem obrosłe, pusty dziedziniec, próżne gruzami zawalone komnaty, szorstki i szpetny obraz zniszczenia i niemocy. Ale, jeżeli spojrzysz po za siebie, piękny krajobraz coś podziwiał z Meranu, w większych daleko ujrzysz zarysach i nie łatwo się nasycisz urokiem, co na te skałę dawnych jéj panów przywiódł. W zamku, z woli cesarza, mieszka, jako burgrabia, stryjeczny brat Hofera, staruszek okryty krzyżami i medalami za zasługi; przepomniał prawie wszystkie wojenne wydarzenia, w których czynny brał udział, i tylko o dobrodziejstwach, jakiemi go cesarz obsypał, opowiada. W kaplicy zamkowéj, zachowanéj od zniszczenia, widzieć można, piękne płaskorzeźby rzymskie z marmuru karyjskiego, które pewne jako pamiątki odległéj już starożytności w owem zamku umieszczone zostały. Schodząc z zamku do miasta, pomiędzy licznemi winnicami i zagrodami wsi Tyrolu, ujrzeliśmy drzewo figowe grubości naszych starych gruszy, a cień pod jego rozłożystemi liściami tak był ponętny, iż postanowiliśmy pod nim odpocząć. Rzeski mężczyzna o śronowatych długich włosach, powitał nas uprzejmie, poczęstował figami, brzoskiniami, winogradem, nareszcie winem z swéj piwnicy, przedstawił swoją rodzinę z dziesięciorga rzeskich, stopniowo mniejszych dziatek złożoną, i jął opowiadać o wszystkich swoich zatrudnieniach, o całém swojém mieniu; wszędzie jak największy pokazywał się dostatek: kilkuletnie zapasy ziarna kukurydzy, gęste czerwone i żółte pałki nowéj, brzoskiwinie gnące się pod owocem, szpalery winne pogięte, pod granatowem Tramińskim winogradem; liczne stado opasłych siwych krów i czarnobrodych kóz, nareszcie wisząca w przedsieniu na kołku połowa dzikiéj kozy, i kilka par śnieżnych i kamiennych karopatw, dostatecznie dowodziły, że szczęście, które na wszystkich tych wesołych i rumianych wylewało się licach, i z materyalnéj strony zupełnie zapewnioném było. Po trzech dniach odpoczynku, w Meranie pożegnawszy naszych dotychczasowych towarzyszów podróży, Francuza z okolic Marsylii, i Norwegczyka z północnéj Norwegii, co mimo takiéj sprzeczności stref rodzinnych, podziwiali z równym uniesieniem czarowny Tyrol; puściliśmy się parokonną karyolką na Botzano, Salurn do Trydentu ciągiem doliny Adygi, pomiędzy dwiema ścianami skał różnobarwnych, po uprawnéj, kukurydzą zasianéj, licznemi sady drzew morwowych na



Widok miasta Tridentu.

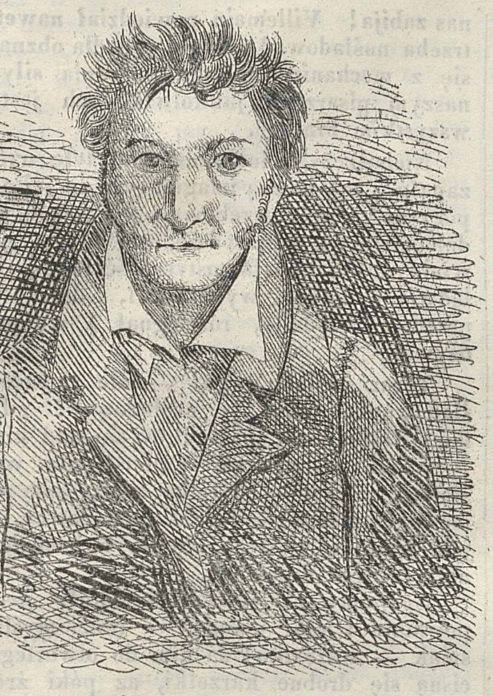
sadzonéj, mnóstwem wież, miasteczek i wiosek zaludnionéj dolinie. Tu i owdzie porozrzucane po skałach stare zamki, przyczyniają się do upięknienia tak ożywionego krajobrazu, i świadczą, że już od wielu wieków, miło i błogo było mieszkać w téj dolinie. O cztery godziny drogi za Meranem, na równinie z milę szerokiéj, leży Boltzano. Boltzen, porządne miasteczko, strukturą domów z podsieniami i gwarem niezrozumiałego dialektu popsutéj włosko-niemieckiéj mowy uderzające. Ujrzysz tu rumianego barczystego górala w zielonym płaskim kapeluszu o wielkim kole, czarnéj axamitnéj kurtce, haftowanym pasie i szelkach, niebieskich pończochach: obok spiekłego na twarzy, z czarnemi kędziarzawemi faworytami, wychudłego Włocha, w kończatym ryżowym kapeluszu, szarym fraku i długich po za kolana kamaszach. Na licach pierwszego ujrzysz jutrzenkę swobody, męzką śmiałość, obok dziewiczéj niewinności, poczciwą prostotę, obok starannego ochędostwa. Drugi będzie nęcił dobieranemi łagodnemi słowy; ale zrazi blask jaszczurczy jego oczu, fałszywym uśmiechem wykrzywione policzki, brudem świecące odzienie: a choćby się najokropniéj nasrożył, choćby miotał groźby i przekleństwa, po wytartém czole poznasz, że czynem ich stwierdzić niezdolny. Spostrzeżesz tę samę różnicę w budowie domów, w kształcie zaprzęgów, a nawet w czystości mieszkańców. W Boltzano rzeczywiście, Germanizm i Italizm podają sobie dłonie. W Salurn pierwszéj wiosce, w któréj mowa, kształt murowanych na dwa piętra domów, już się na Italską przeważają szalę, uczęstowano nas po Włosku, zupą z ryżu, z serem i drogo ją opłacić kazano. Minąwszy sławny winem Tramin, rozwaliny wielu jeszcze w 1809 roku od strzałów poniszczonych budynków i włości, ujrzeliśmy nagle z pomiędzy ogrodów, któremi droga po dolinie ubarwiona, czarne Trydentu baszty.

(Koniec nastąpi.)

Ernest Teodor Amadeus Hoffmann. *)

Nieboszczyk Hoffmann, za rządu pruskiego był konsyliarzem w Warszawie, — ale w ówczas

*) Jeden z najoryginalniejszych pisarzy niemieckich urodził się r. 1776 w Królewcu, gdzie się także prawa uczył. Był urzędnikiem w Głogowie i Berlinie; r. 1800 assessorem w Poznaniu, potem w Płocku i Warszawie. W r. 1806 utracił urząd, a bez widoków w swéj ojczyznie, rzucił się do muzyki, którą z młodości namiętnie lubił. Zdatności jego niepospolite wyniosły go na dyrektora orkiestry przy teatrze w Bambergu, a późniéj w Dreznie i Lipsku. W r. 1816 powrócił na urząd radzcy przy głównym sądzie w Berlinie (Kammergericht), gdzie w r. 1822 umarł. Co do imaginacyi objawionéj w zo-



Hoffmann

nikt się nie starał o jego znajomość — nikt go nie znał — jego, który w lat kilkanaście miał poruszyć wszystkich belletrystów, romanso-pisarzy, poetów prawie całéj Europy, jedném skinieniem swojego fantastycznego pióra. Talent jego kwaśniał z początku na suchych urzędowych pismach, na czynnościach prozaicznych, które umysł mniéj czynny, mniéj gorącą wyobraźnię, mogły przydusić i ostudzić. Ale on! — on biedne swoje ubogie życie całe walcząc z najprozaiczniejszemi potrzebami jego, w duszy jak się urodził tak został poetą.

Dziś i u nas przez tłumaczenia znają już powieści Hoffmana (*Szczęście w karty* w dzien. Wileńs.; *dwór króla Artura* tamże; *O Hoffmanie i wyjątki* tamże; wszystko tłumaczone z tłumaczenia pan Loeve-Veimars przez Rogalskiego); ale mało kto umie je cenić, mało kto z nich poznał ducha pisarza, bo tłumacz wybrał z jego pism najmniéj oryginalne, najmniéj pod względem wynalezienia i imaginacyi odznaczające się.

Żeby poznać Hoffmana, trzeba go przeczytać całego, przeczytać raz i drugi, i wpoić się w jego najtajniejsze myśli, trzeba się zniemczyć czytając, aby zasmakować w téj niemieckiéj potrawie.

stawionych dziełach (wydanych przez pozostałą żonę w 10 tom, w Stutgardzie w r. 1817) ocenił go najlepiéj z rodaków, znany zaszczytnie czytelnikom naszym pan Kraszewski, z którego wędrówek literackich T. I., artykuł niniejszy wyjęto.

Jan Paweł Rychter, jest także bardzo narodowym pisarzem niemieckim, ale daleko mniéj popularnym od Hoffmana, trudniejszym do zrozumienia dla stylu i form nasrożonych różnego rodzaju przenośniami i erudycią. Jan Paweł znajomy jest Europie ledwie z kilku tłumaczeń; Francuzi mają tylko tłumaczenie jednego romansu dawne, wyjątki z jego dzieł pani Stael i nowo (1834) tłumaczonego *Titana*. U nas jest *kmotr Maciéj* jedno z najwolniejszych pism pod względem obyczajowym i religijnym, wyjątek z *Siebenkaese* tłumaczony w tygodniku petersburgskim, i *śmierć anioła*, powieść allegoryczna. Więcéj nie znamy Rychtera, a ci co są dobrze z językiem niemieckim oswojeni, bardzo trudno niektóre jego wykrzykniki i długie frazesy wyrozumieć mogą. On więc będzie długo nieznajomy, i na słowo tylko Niemców ceniony w Europie — ale Hoffmann! — tak dziwny, tak poetyczny, tak jest przytem prosty w układzie i stylu, że już go wszędzie przetłumaczono.

Mają go nawet w Anglii, w Anglii tak dumnéj swoją literaturą: tam przemysł księgarski wlał go do wielkiéj massy ksiąg angielskich, łapczywie rozchwytywanych i zapomnianych tak prędko!

My, jakem mówił, znamy tylko okruszyny Hoffmana, dwie, czy trzy powiastki (bo zapomniałem *pannę Skuderi*), ale nie znamy *księżniczki Brambilli*, nie znamy *Maryno Falieri*, ani sławnych *rozmyślań kota mura*, ani żadnéj z *powieści nocnych*, ani *Salvatora Rozy*, ani wielu i wielu innych, — a jednak nie można powiedzieć, żeby nam zbywało na fabrykantach tłumaczeń, którzyby nie tylko po niemiecku, ale po turecku nauczyli się dla tych nieszczęśliwych pieniędzy.

Tymczasem jednak nie umieją zwykle nasi tłumacze innego, prócz francuzkiego języka, a wcale się nie wahają przetłumaczywszy z francuzkiego, kłaść na czele, że przeleli z oryginału, chociaż możnaby im pierwszą kartą dowieść, że nie umieją języka, z którego niby to tłumaczyli. U nas takie są prawie wszystkie tłumaczenia, czy to klassyków dawnych, czy nowych pism jakich, — wyjąć jednak należy z téj liczby Błotnickiego, Sieńkiewicza i kilku innych sumienniejszych, a mniéj interesownych.

Daj Boże, żeby i nieboszczyk Hoffmann na jednego z takich trafił, któryby go tłumaczył wprawnie, nie gwałcąc języka i rozumiejąc go dobrze w oryginale — moglibyśmy wówczas wszyscy poznać rozmaitość talentu Hoffmana, żywość jego kolorytu, dziwaczność jego myśli, i przy tém wszystkiém co składa poetę, dosyć ducha obserwacyi, dość trafne malowanie charakterów pospolitych, a nadewszystko nieocenioną mieszaninę fantazyi i prawdy, któréj dotąd w tym samym stopniu nikt naśladować nie umiał. Inne powieści fantastyczne są zawsze albo za mało, albo nadto wyłącznie fantastyczne; u niego w samą miarę.

W każdéj z nich prawie można oddzielić część rzeczywistą, od téj, która jest tylko w pewnym sposobie rzeczywistością inaczéj widzianą i opisaną. W księżnicze Brambilla, w bajce o salamandrach *), każdy to widzi, każdy pozna, że Hoffmann chciał tylko w pół-oszalałych dziką wyobraźnią ludzi malować, i mięszał ich marzenia, ich myśli, ich nadzieje, z tém, co się rzeczywiście działo.

Toż samo i w innych powieściach spostrzegać się daje. Zastanowiwszy się nad niemi i nad myślami, które się roją w głowach tylu młodych ludzi, marzących o tajemniczym świecie, zarzuty przesady Walter-Scotta wydają się bardzo a bardzo za surowe.

Niech każdy zda sobie sprawę ze swoich dumań wieczornych i snów nocnych, wieleżby to z nich powieści było, gdyby je umiał napisać! Ale łatwiéj daleko, napisać mierną, regularną, bladą, nic nie dziwną i ani trochę smaczną powiastkę, niż co fantastycznego; bo trzymając się krok w krok dawnych reguł i oklepanych wypadków romansowych, książka napełni się jakąś tam siekanką poetyczności i intrygi, i pójdzie w świat tak dobrze i tak cicho, jakby co najlepszego, — ale w fantazyi! aha! trzeba być oryginalnym i mieć smak przytém, trzeba mieć talent, trzeba pisać z zapałem, z natchnienia! To się nie każdemu udaje, a z małéj liczby próbujących, u nas nikt, ale to nikt, nie tylko fantastycznie, jak nieboszczyk Hoffmann, ale w jakimkolwiek innym rodzaju oryginalnie nic nie napisał. A tyle mamy książek!

Proszę przewrócić cały katalog Bentkowskiego i dodatki do niego wileńskie i lwowskie, i wszystkie świeże katalogi, — i proszę z tego mnóstwa książek wszelkiego rodzaju, choćby jedną pokazać, którąby miała wartość rzeczywistą, to jest: europejską, którąby w jakiéjkolwiek nauce, sztuce, w rzeczach smaku i imaginacyi nadała ruch myślom i wpływała na epokę? Prócz oryginalnego jeniuszu Kopernika, — któż więcéj stanie? — Może jeden, a) może żaden.

Nie płakalibyśmy długo, gdyby od pożaru Alexandryjskiéj biblioteki i nasze się zajęły, — stracilibyśmy wiele rzeczy mających wartość pamiątek, — a mało ważnych prawdziwie. Nie zaprzeczam ja wielkiego talentu wielu pisarzom, ale prawie wszystkim braknie oczywiście na smaku, na oryginalności, na śmiałości i zapale, — a dzisiejszym na oczytaniu jeszcze.

Snycerz, malarz, stara się oglądać obrazy, posągi wszystkich mistrzów, każdéj szkoły; pisarz zaś nie miałżeby szukać natchnienia i smaku w jak największéj liczbie wzorów? Nie żeby je naśladować! Broń Boże! naśladowanie nas zabija! Villemain powiedział nawet, że nie trzeba naśladować nikogo, ale dla obznajomienia się z mechanizmem, dla nabrania siły, któréj naszym pisarzom (jakkolwiek ich jest mało), wszystkim braknie.

Nieboszczyk Hoffmann miał tyle wrodzonego zapału i tak możną imaginacyą, że jéj od nikogo pożyczać nie potrzebował, — smak niemiecki dopomógł mu wprawdzie, ale i sam przez się wiele zrobił, bo fantastyczność ledwie znajomą, ledwie dotkniętą, wykształcił, i daleko daléj niż przedtem chodziła, rozciągnął i wyłącznie jéj używał.

Teraz naśladują go! — ale czemże są naśladowania, czem są naśladowcy? gdyby nie mieli Hoffmanna, pastwiliby się nad kim innym — wszak naśladowali Walter-Scotta, wszak naśladują wszystko, co tylko ma za sobą pochwały mody i smaku — biedni naśladowcy, pasożyci jak jemioła, goszczą się na najmocniejszych i najwyższych drzewach.

Spójrzmy na wszystkie szkoły pisania — powstaje wielki jeniusz — rodzi myśli, formy, smak — wszystko! za nim do otwartego źródła cisną się drobne karzełki, aż póki źródła nie wypiją do dna, do mętów. A potém nowy Mojżesz czarodziejską rószczką wyprowadza ze skały czyste wody — i ci co w skale tylko skałę widzieli, piją, piją, robią z tego źródła studnię, robią jeziorko, robią rzeczółkę, — na niéj stawiają swoje młyny i tartaki, aż póki z czystego źródła nie zrobią kałuży.

I tak w każdéj szkole przeżyje tylko pierwszy jéj prawodawca; ten zostanie na długo, a naśladowcy, jak przyszli, tak znikną.

Czyż Wilibald Alexis pójdzie na równi z Walter-Scottem, — czy pan Janin dożyje śmierci pana Hugo? — czy pan Hugo zagasi Shakspeara? Zobaczemy, — zobaczemy!

I Hoffmann może się spodziewać, że będzie jednym z tych nieśmiertelnych, o których jeszcze lat ze sto będą pisać i mówić, — lecz ci co pisali fantazye, fantastyczność, fantasmagorye — czy będą jak on szczęśliwi? Wątpię.

Zobaczemy — zobaczycie!

Korrespondencya literacka.

List I.

Czytałem w jednym numerze Tygodnika liter. powieść pana J. Kraszewskiego: „Życie po śmierci.“ Ze pomysł głęboki, a autor go rozwijający, znakomity, odczytałem ją z jak największą uwagą. Wiele zdań słyszałem za, wiele i przeciw. Ja w utworze młodego wieszcza znajduję dwa wielkie wykroczenia, przeciw prawdzie i przeciw estetyce.

Pomysł, jak już rzekłem, głęboki, sytuacya człowieka w zajmaniu (?) grzebanego w ziemię, jak

*) Garnek złoty.

a) Kiedy mówię jeden, niechże sobie jaki wariat nie wyobraża, że należę do wielkiéj egoistów szkoły! Ja pamiętam, co Pascal napisał.

najbogatsza w głęboką, wzniosłą poezyą. Ale czy poeta dojrzał jéj, czy się przejął okropnością sytuacyi swego bohatera, czy więc malując stan jego duszy, wierny dał jego obraz, czy zatem prawdzie się nie zadłużył? Nie! pan Kraszewski zdaje się, dla tego tylko obrał sobie ten przedmiot do opisu, żeby reakcyą jego satyryzować świat i jego zdrożności. Inaczéj nie podobna sobie wytłumaczyć, dla czego go więcéj obchodzą poboczne, jak główna powieści osoba! Tu chrapią mnichy nad trupem, któremu odpuszczenia grzechów wypraszać mają od Boga, owdzie żona, ledwo pogrzebion, odchodzi z udanym żalem do domu i z innym się łączy. Takiemi i podobnemi drobnostki zajęte jest pióro poety; kiedy tymczasem ważniejsza sytuacya samego bohatera powieści, ten centralny punkt, w którym wszystkie poboczne promienie łączyć się powinny, prawie zupełnie niknie z oczu czytelnika. A cóż było bliższego do opisu, jeśli autor chciał wiernym pozostać prawdzie; czy poboczne owe wypadki o mnichach, żonie z czucia obranéj, co tylko jako wyjątek uważaném, a więc z ogólnego obrazu wymazaném być powinno? czy też ta wewnętrzna burza w duszy człowieka, który czuje, że żyje, a dla niemocy pozbawiającéj go wszelkiego poruszenia, nie mogącego nawet westchnąć o litość? Tu czekała wieszcza wielka poezya! Tu należało mu się wgłębić, wtopić w całą okropność téj chwili, w któréj żyjący ów trup słyszy, czuje, jak nań wtłaczają owo czechło grobowe, ostatni datek ziemi i kładą w trumnę. Wkrótce więc już wrzucą go w mogiłę, zawalą grobowcem, by wśród najsroższych mąk dodyszył dni ostatka. Ale jeszcze, jeszcze mu błyszczy nadzieja, jeszcze może powrócą siły, i zerwie się z zapałem z śmiertelnego posłania. Tak marzy nieszczęsny, gdy w tém z hukiem nań spada wieko trumny, jakby szyna rozpalonego kruszcu, oddzierająca żarem piekieł jego serce od téj ziemi, na któréj tyle jeszcze kwiatów szczęścia, nadziei dlań błyszczy, do których dziedzictwa, słuszne jeszcze rościć może prawo; zgrzyt przytwierdzających go szrub, zmięszany z jękiem powinowatych, przyjaciół, piorunem najokropniejszych męczarni przepala piersi jego łono, rozpłomienia ciche krwi strumienie w żyłach, błyskawicą rozpaczy przelata całe ciało: może rozbudzi zamarłe życie? O nie; wyższa siła niewidzialnym krępująca je pęty zdaje się szydzić z nieszczęśliwego. A więc nie ma już, nie ma żadnéj otuchy! Patrz, jak z chrzęstem zapadło w mogiłę ciasne jego mieszkanie, a niby olbrzymie góry, walą się nań gruzy ziemi, i grupa po grupie wbija weń głęboko każdą jeszcze słabo zatlewającą się w walczącéj z śmiercią duszy iskierkę nadziei. Lecz jeszcze okropny jest stan jego. Góra gruzów tłoczy go brzemieniem olbrzyma, z pod niéj już żadna siła nie wyswobodzi; najokropniejsze męki ćwiertują drgające jeszcze serce, nieszczęśliwy najcięższemi tchnieniami gasnącéj duszy doliczać ma chwil swych ostatnich. Najdziksza rozpacz szarpie wszystkie wnętrzności; w obłąkaniu chciałby się zerwać z zabijającéj go zduszonem powietrzem ciasnéj otchłani, pragnąłby uciec z pośród téj pieczary zatrutéj zgnilizny, tego mrozu dreszczu grobowego. Ach wszystko daremne. Więc zapamiętały rwie w wściekłości ciało na sobie, bo w téj właśnie chwili wróciły dawne jego siły; chce jęczeć, ale głos w ustach umiera, i zda mu się jakby wszystkie nerwy życia pękały w nim jedna po drugiéj, a głodne robactwo już ze wszech stron tłoczy się na swą ofiarę. Lecz, już domęcza dni ostatka, — ciało wyprężyło się głazem, lica zakrwawiły gorączką dzikości, usta wykrzywiły wściekłą boleścią — skonał. *)

Przecież, o ileż okropniejszym byłby ten obraz, gdyby go w podany sposób wykonał był pendzel mistrza! Malarza, który umie wykrywać odcienia, jakich zwykłe oko nigdy nie dostrzeże. Pan Kraszewski dość szybko i dość obojętnie przeszedł rozebraną przezemnie sytuacyą,; a więc jak okrutnie! wykroczył przeciw prawdzie, łatwo każdemu pojąć (?)

Zobaczymy teraz, jak grzeszy przeciw estetyce. Zdaje mi się, że można jak najpotworniejsze malować sytuacye, bez wpadania w szpetność i obrzydliwość budzące obrazy. Przyznaję, że chcąc wiernym pozostać naturze, nie należy pomijać szczegółów uzupełniających obraz. Gdy jednak te szczegóły, bez zepsucia całości, bezpiecznie mogą być opuszczone, cóż naturalniejszego, jak o nich zamilczeć. Stósując to do powieści pana Kraszewskiego, bezpiecznie byłoby się w niéj obyło bez owych gadów obierających ciało trupa, wygryzających mózg, bez owych ropuch obsiadujących szkielet i bez téj ich mistrzyni rozpartéj w jego czaszce. Ponieważ dążnością autora nie było, rozsłonienie przed naszą wyobraźnią téj obrzydliwość w każdém delikatném sercu wzniecającéj operacyi, która następuje z ciałem w ziemi, skoro je duch opuści, jak raczéj rozwinięcie téj wzniosłéj myśli, że w świecie nic nie ginie, lecz wszystko, acz w innych (formach) kształtach się odradza, że wszystko w stworzeniu jest nieśmiertelném. Pocóż więc było ten szczytny obraz tak brudnemi kalać farbami. Poezya będąc jako szczególny dar niebios, pośredniczką pomiędzy ziemią a niebem, upiększać, osładzać powinna to pełne krwawych trudów życie, strojąc kwiatami cierniste

---

*) Inna podobno była główna myśl Kraszewskiego! Zdaje nam się, że on nie zamierzył sobie opisać w zajmaniu *żywo pogrzebanego*, ani udręczeń jego, znanych i powtarzanych potylekroć w gazeciarskich nowinach; ale chciał rzucić głęboką, wielką myśl o exystencyi jego po śmierci, myśl o przeradzaniu się żyjących istót, znajomą starożytnym, a mianowicie Platonowi, i tak poetycznie rozwinioną w dialogu Phaedrus.

P. R.

jego drogi, ale nie zdzierać wszelką z niego illuzyą. Poezya powinna być tą czarodziejską muzyką, która zwątlone i upadające siły człowieka krzepi i zapała do czynów w piorunnym boju życia, ale nie ową straszliwą trąbą archanioła, przerażającą trwogą, zwątpieniem, walącą do grobu tego, który do działania stworzony! Inna rzecz, gdyby pan Kraszewski chciał był nam odmalować charakter człowieka umysłowo zbłąkanego: jego chorobliwa wyobraźnia może podobne wyradzać potwory; ale nie dusza rozumnej istoty, której zadaniem godzić i jednać przeciwne elementa życia. Nie wiem, czy i to estetycznem nazwać można, żeby podobne głębokie marzenia, mogła roić głowa prostego pijaka; a w końcu, czy i owo wylanie wiadra wody na świętą skroń syna Helikonu, (?) jakoby na każdego zwyczajnego człowieka, nie obraża delikatnego, wykształconego czucia.

Te są uwagi, które ośmielam się czynić genialnemu pisarzowi, dla którego aż nazbyt wielką czcią przejęty jestem, jak żebym nie miał przypisać tych jego zboczeń, raczéj zbyt rozbujałéj imaginacyi, jak nieznajomości tego, co prawdziwie jest pięknem. ***

Stefan Czarniecki.

(*Dokończenie.*)

Zaledwie to wyzwanie powtórzyły straże,
Gieréj śmiałego jeńca przed siebie wieść każe,
Mówiąc: »nazbyt ci ciążą Tatarskie okowy,
Kiedy pod cios niemylny chcesz nadstawić głowy.
Lecz, żebyś pewniéj stawił do zapasów pole,
Na własnym moim koniu walczyć ci dozwolę.
Jeśli wyjdziesz zwycięzki, otrzymasz go w dani,
Z tem bogactwem, w które go stroili sułtani.«
I zaraz rumakowi odpięto trojnoże,
Ledwie czterech Arabów utrzymać go może,
Choć każdy pręży boki, ziemię stopa ryje;
Koń się spina, powietrze kopytami bije,
A Han, co w zręczność jeźdźca i siłę nie wierzy,
Konia pysznym, a jeźdźca szydnym wzrokiem mierzy,
»Hanie!« rzekł Stefan, »konia twojego dosiędę,
»Lecz tylko własną bronią w szrankach walczyć będę!«
Więc zaraz niewolnicy przed Hana oblicze
Znoszą ze świeżych bitew orężne zdobycze;
Poznał swój pałasz Stefan i z radością chwyta,
Rękojeść jego z pereł jaszczurem pokryta,
Na ostrzu ryte w złocie Przenajświętszéj imie;
Sam ojciec Chrześcianstwa poświęcał go w Rzymie,
I przysłał Batoremu przez kapłana darem,
Kiedy go z pokonanym chciał pogodzić Carem;
Batory Zamojskiemu przypasał nad Dźwiną,
Zamojski Żółkiewskiemu oddał pod Byczyną;
W Cecorskiéj klęsce został Skinder-Baszy łupem,
Lecz go Zygmunt wykupił wraz z hetmana trupem;
Władysław pod Steblowem odniósł nim zwycięztwo,
I nagrodził na placu Czarnieckiego męztwo.
Chwyciwszy go Czarniecki zaraz ostrzem błysnął,
A widząc święte godła, do ust je przycisnął,
I rzekł: »królowo niebios, błogosław żelazu,
Daj zwyciężyć Pohanca, lub poledz od razu!«
A w tem proporzec Polski u Tatara zoczył,
Wyrwał go, i tak szybko z nim na konia wskoczył,
I tak go silnie objął pomiędzy golenie,
Że koń stanął jak wryty, bo utracił tchnienie!
Więc oba zapaśnicy spotkania nie zwloczą,
Mierzą się groźnym wzrokiem końmi na się toczą.
W tem Achmet spuścił włócznię, lecz nim cios wymierzył,
Już go Stefan proporcem pod żebra uderzył.
Sztych przeszywa trzy z karków bawolich kaftany,
Krew jakby czarny strumień wytrysnęła z rany:
Chwieje się Achmet, spada jak skalista bryła,
A ziemia jękła, i dzicz z przestrachu zawyła.
Czarniecki skacze z konia, pierś stopą naciska,
Już miecza nań dobywa i nad gardłem błyska,
Gdy Gieréj przerażony sam zawołał z tronu:
»Wstrzymaj cios, nie zadawaj zwalczonemu zgonu;
»Com przyrzekł, dotrzymywać jest w moim zwyczaju,
»Jesteś wolnym, pospieszaj bezpieczny do kraju,
»Twojem jest to bogate na koniu ubranie;
»Oręż twój i mój rumak przy mnie pozostanie!
»W pierwszym poznałem czary, drugiego zbyt ważę;
»Za oręż, sto kies złota wypłacić ci każę,
»Za konia — sto Tatarów wybierz z moich szyków,
»I jedź powiększyć liczbę waszych wojowników.«
— »Hanie! rzekł Stefan, Polska ma złota do woli,
Nie oręż nam je daje, ale żyzność roli;
Na stepach naszych dzielne rumaki się rodzą,
A dzieci od kołyski już w pancerzach chodzą;
Przecież ojczyznę naszą srogie losy dręczą,
A młodzież jéj i wodze w twoich pętach jęczą!
Zatrzymaj swoje dary, a wróć im swobodę,
Ja więzy, którem nosił przyjmę za nagrodę.
A jeśli prośba jeńca twoje ucho skłoni,
Nie wspieraj buntownika potęgą twéj broni,
Odnów z Polską dawniejsze warunki przymierza;
Godniejszy ciebie zawód wspierać Kazimierza.
Wszakże do twéj wdzięczności ma niejakie prawa
Syn naszego Zygmunta i brat Władysława!«
Gieréj na to: »wiem, w jakiéj Polska jest potrzebie,
Wszystkiego więc chcesz dla niéj, niczego dla siebie;
Jeszcze za ziomków więzy chcesz dźwigać z ochotą,
Znałem dotąd waleczność, tyś mnie poznał z cnotą.
Wspaniałość, wspaniałością wzajemną nagrodzę,
Wolni są wszyscy więźnie, wolni wszyscy wodze;
Jeśli Kazimierz szczerze ze mną związku pragnie,
To ramię kark Bogdana do stóp jego nagnie.
Skarcę kozactwa bunty i zuchwałą zdradę,
Ale jeden warunek do przymierza kładę;
Na dowód twéj miłości ku mojéj osobie,
Przyjmiesz konia, któregom chciał zachować sobie,
Oręż twój własny wracam: obyś jak mąż prawy
Nie dobył go bez musu, nie schował bez sławy!
Jedź szczęśliwy, ta cnota niech w tobie nie stygnie,
Ty jeden dźwigniesz Polskę, lub jéj nikt nie dźwignie:
Ja żądzy méj nie taję, że w najprędszéj dobie,
Pragnę walczyć nie z tobą, lecz gromić przy tobie!«

K. K.

Uwiadomienie literackie.

Druk zapowiedzianego „*Wyboru kazań wzorowych, oryginalnych z najlepszych naszych dawniejszych i nowych kaznodziejów zebranego,*“ już się rozpoczął. Pierwszy poszyt zaraz po wyjściu będzie Szanownym Prenumeratorom przesłany. Ponieważ zaś imiona Sz. Prenumeratorów na końcu pierwszego poszytu umieszczone być mają; upraszam niniejszém o spieszne nadesłanie list prenumeracyjnych, i oraz nadmieniam, iż wszystkie księgarnie krajowe przedpłatę przyjmują.

Leszno, dnia 15. Grudnia 1838.

X. A. Tyc.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Ciechański.*)